



Kazimierz Chłędowski  
(1843 — 1920)

## Dwie wizyty w Anglii (1899)

Siódma z rana, mokry wiatr dmie, słońca nie widać, ponuro...

Brzegi Anglii zarysowują się jak mgła zgęszczona, jak chmura wlokąca się po zielonym morzu. Radzibyśmy odkryć za tą chmurą jakieś piękności przyrody, ale im się bardziej zbliżamy, tem większe rozczarowanie. Zdaje się, że okręt wprost zdąża do kałuży błota, pomiędzy zielonym, niskim brzegiem bowiem a wodą, cała przestrzeń czarnego, lepkiego namułu, na którym tu i owdzie leży kępa przegniłej, ześlimaczonej trawy.

Jesteśmy u ujścia Tamizy, i to w godzinie odpływu.

Statek zwalnia biegu, staje się flegmatycznym, manewruje jak może, aby się przez wąski kanał dobić do estakady, pomostu na dębowych palach wchodzącego w morze. Nogi się niecierpliwia, aby dotknąć angielskiej ziemi, oczy rade by coś z zielonego zobaczyć Albionu, ale przez chwilę nic nie można widzieć przed sobą, jak tylko potężne piloty obrośnięte lśniąca rzęsą i pokryte całymi plastrami mułu, czarnych muszelek, stanowiących jedno z głównych pożywień nadmorskiej nad „kanałem” ludności.

Na pomoście kilkunastu ludzi, owych morskich brytanów, o kwadratowych pierśiach, ujętych w niebieskie kaftany o twarzach ogolonych i czarnych od wiatru, czeka, aby linę uchwycić i wynosić kutry.

Na jednym z pilotów wielki napis, jedyny, jaki widzę; „Colman’s mustard”, czarne litery na ciemno-żółtej tablicy.

Nareszcie brzęk łańcucha, lekkie wstrząśnienie i jesteśmy nie na ziemi, ale na brudnych dylach długiej szopy, zbitej z desek, w której odbywa się rewizya pakunków: czy nie ma cygar i dynamitu?

W niektórych państwach stawiają na granicach okazałe gmachy, aby dać dobre o porządku i zamożności rządu wyobrażenie. Tutaj przeciwnie: komfort, bogactwo wewnątrz kraju, w domu; na oko, na pokaz nic. „Czy wam postawimy nad brzegiem pałac czy stodołę, zawsze będziecie do nas przyjeżdżać, wolimy więc wystawić stodołę, bo tańsza...” — tak rozumuje John Bull.

Z szopy rewizyjnej na peron. Czy myślicie, że pod dach szklany, do świetnej halli, jak na kontynencie? Broń Boże! „Moknij przyjacielu na deszczu, abys lepiej Anglię zapamiętał — i szukaj czem prędzej wagonu!” [...]

Pociąg rusza, szybko z miejsca pędzi. W około pastwiska, stada potężnych baranów, krów, którym deszcz zdaje się nic nie przeszkadzać w spożywaniu soczystego śniadania.

Jedziemy ku Rochester, okolicą nadbrzeżną, jednostajną, im bliżej jednak Londynu, tem więcej się pejzaż ożywia: jary, pagórki; łąny, pszenicy, rzepaku, urozmaicone kępami lip i dębów, tudzież plantacyami chmielu. Gdzieniegdzie willa, dom świadczący o zamożności właściciela, w stylu tak dzisiaj rozpowszechnionym angielskich kotedżów.

Przebiegamy kilka małych tunelów, nad każdym taka sama jak w Queenboroo tablica: „Colman’s mustard”. [...]

Deszcz wprawdzie ustał, ale mgła zaciemnia horyzont, a szkoda, bo okolica wcale malownicza: wille, coraz częstsze parki, zameczki, długie domy jednopiętrowe, z kilkoma lub kilkunastoma wejściami. Przed każdymi drzwiami ogródek, obwiedziony sztachetami, zaznaczający część domu, w której jedna mieszka rodzina.

Nareszcie coś, co się już zna z rysunków: gmach olbrzymi, szklany, z wielką kopułą, oczywiście pałac kryształowy w Sydenham, w którym w r. 1851 odbyła pierwsza powszechna wystawa.

Londyn się zaczyna: wał kolejowy dość wysoki jak daleko okiem sięgniesz, po lewej i po prawej stronie — dachy, i to dachy domów jednopiętrowych, ciągnących się nieprzerwanemi, monotonnymi szeregami; gdyby nie było kominów, myślałbyś, że to jakieś składy, jakieś szopy niesłychanie długie.

„I tam być stolica Anglii!” Pewna obawa chwyta za serce, aby się nie miało najzupełniejszego rozczarowania.

Jednostajność tego horyzontu, poliniowanego wzdłuż i wszerz dachami, przerywają przebiegające pociągi i kłęby dymów fabrycznych. Nie można się zorientować skąd pociągi wybiegają, dokąd dążą. Jeden przeleciał koło nas, drugi jak łąsica mignął się tylko, przesunawszy się z nory do nory, trzeci zasyczał nad naszymi głowami i pozostawił za sobą taki słup dymu, że na kilka sekund nic się innego nie widzi, jak tylko gęstą, popielatą chmurę. Oko nie postrzega, gdzie jedziemy: na północ, na zachód, czy na południe.

Zdawało mi się, że znam plan Londynu na pamięć, zbieram więc cały zmysł oryentowania się: nic nie pomaga, pod nami, nad nami, z jednego i drugiego boku dymy, pociągi i nic więcej.

Nareszcie przecież jakiś punkt stały: przejeżdżamy przez Tamizę, z ciekawością rzucam się ku oknu, ba! — drugi pociąg przebiega, nic nie widać. Jeszcze kilka minut — dworzec.

Wysiadam, widzę szereg jednokonnych dorożek, mnóstwo publiczności wsiadającej i wysiadającej, cały świat kolejowy, trzy, cztery wiedeńskie dworce razem

wzięte, a ten świat przykryty olbrzymiem szklanem sklepieniem, pod którym, jak duchy piekielne, tłumią się kłęby czarnych dymów, szukając wyjścia z uwięzi. Nie czas wszakże na obserwacje, trzeba rzeczy odebrać, ruszać do hotelu. [...]

### *Londyńskie wrażenia*

[...] Przypatrzmy się ramom, w których to życie pulsuje, ten ruch się odbywa.

Kamienice po większej części dwu, gdzieniegdzie trzypiętrowe, wąskie, bez ozdób, zakryte do tego stopnia napisami, iż się zdaje, że służą tylko za deski do reklamy, że są wycinkami z inseratów jakichś olbrzymich gazet.

Najwięcej domów z ciemnej, prawie czarnej cegły od której odbijają cieliste, jasnoniebieskie, czerwone, różowe lub zielone odrzwia i oprawy okien. Wielu właścicieli nie żałuje farby na cały więc dom, na przestrzeni kilkunastu kroków widać wszystkie kolory tęczy. Uderza mnie wszakże długa kamienica, pomalowana w trzy pasy: środek kanarkowy, jeden bok brązowy, drugi ciemno-żółty.

Hasło: kto kogo przekrzyczy! kto łatwiej się wbije w pamięć publiczności! Napis więc wszędzie: na dachu, na kominie, na miejscach wolnych, pomiędzy oknami, na balkonach, a często i na samych szybach. Jeden ogłasza swą firmę złotymi literami, drugi każdy wyraz innym kolorem maluje, trzeci przygotował się na wieczorny efekt i z rur gazowych cały sztyl swój złożył, czwarty ze szkła kazał swe nazwisko ułać; jak kto może, tak się chwali.

Wśród tego tłoku napisów, bujne kwiaty w oknach, na balkonie, wiersz poezji w kupieckiej prozie, u kwiaty i drzewa dziwnie się lubują w londyńskim dymie i wilgoci.

Dym zresztą jest tam estetykiem i regulatorem smaku, pod jego wpływem tracą na krzykliwość fioletowe, kanarkowe i czerwone domy, okrywają się ciemną patyną, która całemu miastu nadaje ton wielce poważny i spokojny.

Jesteśmy w Hyde Parku: brama w kształcie łuku Konstantyna, przed nami nieprzerwana nić powozów, na lewo łąka gubiąca się w kępach drzew. Przerzynam łąkę, wiedząc, że idąc w kierunku Kensingtonu, trafię na jezioro, na „Serpentine River” i część arystokratyczną ogrodu.

Na łące, która w swej północnej części z mniejszym jest utrzymana staraniem, suchy lipiec zostawił już tu i ówdzie ślady. Tam zaś, gdzie trawa zieleńsza, pasą się krowy, albo jakiś słaby, lub nie mający nic do czynienia gentleman używa wywczasu, rozłożywszy nogi w szerokie ipsylon.

Południe się zbliża, dzień piękny, słońce się wydobywa zza mgły i dymu, a przedzierające się przebojem promienie oświecają park słabem, łagodnym światłem. Na krańcach horyzontu, nad domami i wieżami ciąży jeszcze brudna chmura, która gdzieniegdzie pod wpływem blasku słonecznego przybiera kolor brązowo-żółty, lub zielonawo-żółty, kolor chmury gradowej, albo robi wrażenie ogromnej łuny, jak gdyby całe City stało w płomieniach.

Mijając śpiących jegomościów i idąc na przełaj, po trawie, dochodzę po dobrym kwadransie do jeziora, nad którym znów ruch, znów cały szereg wykwintnych powozów.

Na „Serpentynie” zielone kępy, kaczki, łabędzie, a nad brzegiem młode John Bulle puszczają na wodę statki żaglowe, ucząc się płynąć w świat do Indyi lub Nowej Zelandyi. Anglia za mała, aby wszystkich żywić i wzbogacić mogła, zaledwie szósty z nich w domu pozostanie, pięciu będzie sprzedawało Indyanom perkale, biło się we wnętrzu Afryki, albo budowało drogi i mosty nad Gangesem.

Dzieciaki zdrowe, silne, biegają po gazonach, gdzie im się żywnie podoba przed ósmą z rana i po ósmej wieczór wolno im nawet suknie pozostawiać na brzegu i kąpać się w jeziorze; nie ma gderliwego inwalidy, który by na nich wołał z daleka: „że tam iść nie wolno!” Za jeziorem część „elegancka” ogrodu, gazony jak aksamit, klomby z palm, wawrzynów, z przepysznych róż, z świerków i sosen kanadyjskich, a dalej widok niezrównany: „Rotten Row” szeroka, nieprzejrzonej długości aleja, na niej setki jeźdźców i amazoнок. Kto chce piękne widzieć Angielki, niech tutaj usiądzie. Jak one jeżdżą, jak siedzą na koniu, jakie smukłe, jakie — przebaczenie wyraz — rasowe.

Ma swój urok Corso neapolitańskie, kiedy kilkaset otwartych powozów stępo, w cztery rzędy jedzie za *villa reale*, ku Pozilipowi; kiedy w powietrzu czuć spojżenia kobiet, które z miłości otruc potrafią, kiedy lekkie stroje, koronki, jedwabie, bukiety, myśl sybarytyzmem upajają; nie brak poetyckiego uroku nicejskiej „bataille de fleurs”, z rydwanami ubranymi w świeże fiołki, z końmi przystrojonemi w lilie i anemony, z profuzyą kwiatów, pomiędzy którymi prawie kobiet nie widać; niemniej malowniczy wieczór na „Cascinach” florenckich, gdzie znów różnaitość upręży, konie, pióropusze, dzwonki, lisie ogony przelatują jak błyskawica jednokonki, obudzają życie, werwę, młodzieńcze uczucia: zajmującym wreszcie i lasek Buloński, a w nim amazonki z żółtymi włosami, dziwaczne stroje, składne liberye, „szyk”, „pszut” i jak się to wszystko nazywa — ale nigdzie się nie odnosi tak oryginalnego wrażenia, jak przy „Rotten Row” londyńskim.

W Nizy czujesz, że mimo pozornej zabawy cały świat się nudzi, rad byś zresztą aby przy najumiej gdzieniegdzie kobieta kwint okrasiała, a nie wiecznie o kwiatu chciała się w piękność zapożyczać; z lasku Bulońskiego wynosisz najczęściej niesmak, z Hyde Parku pewną trzeźwość wrażeń, pewną ochotę do życia. Malarz powinien tam „linię” studyować, szlachetną, estetyczną pozę; nie widziałem kobiet piękniej się trzymających, zgrabniej jak tam siedzących na koniu. A jaka różnaitość tych koni: najpyszniejsze bieguny angielskie, siwe araby, na których Farys mógłby się przejechać, silne, kształtno amerykańskie stepowce, korsykany i kuce najrozmaitszych rodzajów.

Na przestrzeni od Westminsteru do Kensington, w najświetniejszej części miasta, ma publiczność kilkaset hektarów ogrodów: St.-James Park, Green Park, Hyde Park, Kensington Park, ciągną się od wschodu na zachód w nieprzerwanym szeregu, całe

folwarki drzew, łąk, stawów i cienistych ulic, z których St. James Park, z małym jeziorem, najpiękniej ze wszystkich jest utrzymanym.

Mgły wszakże nad Tamizą i tyle, tyle dymów wychodzi z owych 700 tysięcy kamienic, stojących na przestrzeni 122m kwadratowych mil angielskich, że ogromne puste przestrzenie jeszcze nie wystarczają, ażeby promieniom słonecznym wolno do miasta utorować przystęp... [...]

Przez ścisk ludzi, przez tłok omnibusów, wozów i powozów, zdołaliśmy wreszcie dobić się do spokojnej przystani, do framugi, na London Bridge, którą spiesząca się ludność omija.

Na razie nic się tam nie widzi: szum, łoskot, rozmaitość przesuwających się przedmiotów. Czerwone, żółte, zielone omnibusy z rozlicznymi napisami, migające się fizyonomie, wozy z owocami, i bawełną, chlebem, papierem, tak zaczynają przed oczami tańczyć, że zaledwie chwilę jesteśmy w stanie w ten wir spoglądać, aby się już z rana zupełnie nie zmęczyć. Dalej więc wzrokiem poza most, ku Zachodowi... Ale za tym mostem znowu most drugi, na którym oko z większą jeszcze trudnością zdołałoby odpocząć, gdyż tam pociągi przebiegają, krzyżują się, syczą, dymią, i wpadają w zakopconą otchłań, w dworzec kolejowy. Nie ma więc rady, trzeba się od tego ruchu odwrócić i patrzeć w dół, na Tamizę, ku wschodowi.

Na doli także ruch wielki, gorączkowy, ale innego rodzaju, spokojniejszy. Po jednej i drugiej stronie rzeki stoją okręty na kotwicy, na nich nadzy prawie robotnicy, o tytanicznych ciałach i muskułach, jakby modele stworzone dla Michała Anioła wyładowują towary, paki, beczki, wory. Ogromne skrzynie lub bale obite żelaznymi obręczami podnoszą się na linach i hakach z lekkością funtów herbaty, oksefty niemal tej wielkości, co słynna beczka heidelberska toczą się po pomostach.

Obok przybija statek zasiany głowami ludzkiemi jak zagon maku makówkami, a te makówki zaczynają pchać się, biegać, wyskakiwać. Środkiem brudnej, żółtawej rzeki pompatyczny parowiec o dwóch kominach pruje fale szeroką pierśią; czekał on na morzu, a korzystając teraz z przyprływu, wsuwa się aż w środek Londynu.

Właśnie śwista ochryple, żałośnie, wypuszcza parę, bo stanął u kresu podróży. Sterany, zmęczony, zapewne przyplłynął gdzieś z daleka, może z Nowej Zelandyi, może z Japonii, Cejlonu lub Hongkongu. O niego obtarł się jakiś młokos, stateczek wylakierowany, świecący i wyświeżony, który przerzynając wzdłuż i w poprzek Tamizę, na falach morskich się zapewne jeszcze nie kołysał. Smarkacz, nie zważając na stojącą na moście publiczność, przepłynął pod nami i osłonił czarną chmurą gorzkiego, duszącego dymu.

Jak daleko dojrzeć ku Towerowi i dokom, wszędzie pełno statków żaglowych, parowych, każdy z tych ostatnich ciągnie za sobą czarną kیتę, która się powoli kładzie nad dachami City, aby kopcić wygolone John Bullów policzki.

Czytałem, że chcąc objąć rozmiary Londynu i mieć dobre wyobrażenie o ruchu w okolicy London Bridge, trzeba wyjść na platformę pobliskiego „Monumentu”,

wystawionego na pamiątkę strasznego pożaru, który w r. 1666 tak szalał nad Tamizą, że zniszczył 460 ulic, 89 kościołów i przeszło 13.000 domów.

Owym „Monumentem” jest potężna kolumna, w środku wydrążona i mieszcząca w swem wnętrzu ni mniej ni więcej jak 345 schodów.

Poświęcam się więc jak angielski turysta, mierzę owe schody, a po wytyżeniu godnem lepszej sprawy, znajduję się wreszcie na platformie, otoczonej koszem żelaznych krat, aby powstrzymać od zbyt śmiałego zapędu amatorów, którzy by chcieli czaszkę sobie stamtąd na bruku roztrzaskać.

Naturalnie rozczarowanie: London Bridge jeszcze widać, jak plaster miodu muchami obsiadł, ale dalej kłęby dymu, trochę dachów i... nic więcej.

[K. Chłędowski, *Dwie wizyty w Anglii. Szkice i wrażenia*, t. 1, Warszawa 1899, s. 17-21, 25-29, 36-38]